

Z całej tej pełnej zgiełku imperialnej epopei wylania się wśród płomieni rażona piorunami twarz, szeroka pierś poprzecinana błyskawicami, człowiek-fallus, profil dostojny i cyniczny, grymas straszego i wyniosłego tytana; czujemy jak po tych przeklętych stronicach krąży dreszcz nieskończoności, jak na płonących wargach wibruje tchnienie porywczego ideału. Zbliźcie się, a usłyszycie jak w tym zabłoconym i skrwawionym ścierniu pulsują tętnice uniwersalnej duszy, żyły nabrzmiały boską krwią. Kloaka ta jest stworzona z lazuru, jest coś z Boga w tych latrynach. Zamknijcie uszy na szcęk bagnetów, na huk armat; odwróćcie oczy od zmiennego pływ przegranych lub wygranych bitew; zobaczycie wówczas wylaniającą się z cienia ogromną, promieniującą, niewysłowioną zjawę; zobaczycie wschodzącą zza całej usianej gwiazdami epoki olbrzymią i złowrogą postać markiza de Sade.

Swinburne

Dlaczego czas rewolucji miałby przydawać blasku sztuce i literaturze? Rozpętanie zbrojnej przemocy nie idzie w parze z troską o wzbogacanie dziedziny, którą cieszyć się pozwala jedynie pokój. W takim czasie nadawanie kształtu ludzkiemu przeznaczeniu biorą na siebie gazety: samo miasto, nie zaś bohaterowie tragedii i powieści, przyprawia umysł o drzenie, jakie zwykle wywołują postacie zmyślane. Bezpośrednia wizja życia w porównaniu z wizją wypracowaną przez umysł i sztukę historyka jest uboga. Jeśli jednak tak samo jest z miłością, która swą inteligibilną prawdę znajduje w pamięci (tak że najczęściej miłości bohaterów mitycznych mają dla nas więcej prawdy niż nasze własne), to czy możemy powiedzieć, że czas rozruchów, nawet wówczas, gdy czuwa jakaś część naszej świadomości, nie pochłania nas całkowicie? Toteż czas zamieszek jest w zasadzie niepomysłny dla rozkwitu literatury. Na pierwszy rzut oka Rewolucja wyznacza w literaturze francuskiej czas ubogi. Przytacza się znaczący wyjątek, ale dotyczy on człowieka niedocenionego (który zyskał sławę za życia, ale sławę fatalną). Poza tym wyjątkowy przypadek Sade'a nie przeczy bynajmniej powszechnej opinii, lecz raczej ją potwierdza.

Po pierwsze należy powiedzieć, że uznanie geniuszu, znaczącej wartości i literackiego piękna dzieł Sade'a jest świeżej daty, dokonały tego pisma Jeana Paulhana, Pierre'a Klossowskiego i Maurice'a Blanchota. Z pewnością te jasne, wolne od natarczywości, zrozumiałe manifestacje ugruntowane zostały na dość rozpowszechnionej opinii, którą pobudziły głośne hołdy² i która powoli, acz niezawodnie się utrwaliła.

¹ G. Bataille, *Sade*, przeł. B. Banasiak, „Nowa Krytyka” 1995, nr 6, s. 213-234.

² Należy wymienić nazwiska Swinburne'a, Baudelaire'a, Apollinaire'a, Bretona, Eluarda. Na szczególną uwagę zasługują cierpliwe i z uporem prowadzone badania przez Maurice'a Heine'a (zmarłego w maju 1940 roku): ten uroczy, dziwny i przenikliwy człowiek poświęcił swe życie pamięci Sade'a. Dlatego warto tutaj przypomnieć cechy jego charakteru. Ten bibliofil i skrupulatny erudyta (tak skrupulatny, że niczego, niestety, nie opublikował), zabierając głos na kongresie w Tours (gdzie po wojnie 14 roku dokonał się rozłam między francuskimi komunistami a socjalistami), wy dobył rewolwer, wystrzelił przypadkowo i lekko zranił swą żonę w ramię. Heine był wszak jednym z najłagodniejszych i najlepiej wychowanych ludzi, jakich znałem. Ten zagorzały obrońca Sade'a, równie niewzruszony jak jego idol, doprowadził pacyfizm do ostateczności. W roku 1919 był zwolennikiem Lenina, w roku 1921 z powodu stłumienia przez Trockiego anarchistycznego buntu marynarzy Kronsztadu opuścił partię komunistyczną. Roztrwonął majątek na prowadzenie badań nad Sade'em i zmarł w niedostatku, jedząc niewiele, by karmić bezdomne koty. Awersję wobec kary śmierci – co było mu wspólne z Sade'em – doprowadził do ostrego potępienia walk

Sade i zdobycie Bastylji

Po drugie należy powiedzieć, że życie i dzieło Sade'a wiążą się z wydarzeniami. lecz w sposób dość osobliwy. Sens rewolucji nie został dany w ideach Sade'a, idee te w żaden sposób nie są redukowane do rewolucji. Jeśli wiążą się z nią, to raczej tak, jak różnorodne elementy jakiejś skończonej postaci, tak jak ruiny ze skałą albo noc z ciszą. Rysy tej postaci pozostają niewyraźne, pora już jednak je wydobyć.

Niewiele zdarzeń ma większy walor symboliczny niż zdobycie Bastylji. Podczas upamiętniającego je święta wielu Francuzów, widząc nocą zbliżające się światła capstrzyku z pochodniami, czuje coś, co łączy ich z suwerennością kraju. Ta suwerenność ludu, będąc w całości wrzeniem i buntem, jest niepoohamowana jak krzyk. Nie ma znaku więcej mówiącego o święcie niż powstańcze zburzenie więzienia: święto – które nie jest świętem, jeśli nie jest suwerenne – jest z istoty *rozpętanem*, z którego wywodzi się nieugięta suwerenność. Ale bez elementu przypadku, bez *kaprysu*, wydarzenie nie byłoby równie doniosłe (właśnie dlatego jest symbolem, dlatego różni się od abstrakcyjnych formuł).

Mówiono, że zdobycie Bastylji nie miało naprawdę takiego znaczenia, jakie mu się przypisuje. To możliwe. 14 lipca 1789 roku znajdowali się w niej tylko mało ważni więźniowie. Wobec tego wydarzenie byłoby tylko nieporozumieniem. Jeśli uwierzyć Sade'owi, w istocie było to nieporozumienie: nieporozumienie, które sam prowokował! Można by jednak powiedzieć, że częśćka nieporozumienia daje historii ów ślepy żywioł, bez którego byłaby ona zwykłą odpowiedzią na nakaz konieczności (jak w fabryce). Dodajmy, że kaprys nie tylko wprowadza do figury 14 lipca częściowe zaprzeczenie korzyści, lecz także korzyść przypadkową.

W chwili, gdy zdarzenie, które miało wstrząsnąć światem, a nawet przynieść mu nieco wolności, rozgrywało się, choć niejasno, w ludzkich umysłach, jednym z nieszczęśników, zamkniętych za murami Bastylji była autor *Justyny* (książki, w przedmowie do której Jean Paulhan³ twierdzi, że *postawił on pytanie tak trudne, że nie dość było całego wieku, by na nie odpowiedzieć*). Od dziesięciu już wówczas lat, a w Bastylji od roku 1784 więziony był jeden z najbardziej zbuntowanych i porywczych ludzi, który jednak nigdy nie mówił o buncie ani o porywczości, jednym słowem, człowiek monstrualny, opanowany namiętnością wolności *niemożliwej*. Rękopis *Justyny* znajdował się w Bastylji jeszcze 14 lipca, pozostawiony w pustej celi (wraz z rękopisem *Stu dwudziestu dni Sodomy*). Jest rzeczą pewną, że w przeddzień wybuchu zamieszek Sade podburzał tłum: uzbroił się, podobno, w rurę służącą do spuszczenia nieczystości, przez którą, jak przez tubę, krzyczał, że „mordują więźniów”⁴. Rys ten ściśle odpowiada prowokacyjnemu charakterowi, jaki ujawniają całe jego życie i dzieło. Ale ów człowiek, który za to, że był samym rozpętanem, od dziesięciu lat był spętany, i który od dziesięciu lat oczekiwał chwili uwolnienia, nie został uwolniony przez „rozpętanie” zamieszek. Powszechnie wiadomo, że marzenie pozwala dojrzeć w trwodze doskonałą

byków. Był jednym z ludzi, którzy w sposób najbardziej dyskretny, ale i najbardziej autentyczny, przynosili zaszczyt swym czasom. Jestem dumny, że mogłem być jego przyjacielem.

³ Pierwsza wersja książki, napisana w Bastylji w roku 1787, nosiła tytuł *Niedole cnoty*. Do niej to napisał przedmowę Jean Paulhan (Sade, *Les Infortunes de la Vertu*. Ze wstępem Maurice'a Heine'a, bibliografią Roberta Valençay i przedmową Jeana Paulhana, wyd. Point du Jour, 1946).

⁴ *Le Réperoire ou Journalier de la Bastille à commencer le mercredi 15 mai 1782* (opublikowana częściowo przez Alfreda Bégisa w „La Nouvelle Revue”, listopad i grudzień 1882. Zob. G. Apollinaire, *L'Œuvre de Sade*, Paris 1909, s. 4-5).

możliwość, jaką skrywa do ostatniej chwili: jak gdyby jedynie odpowiedź zagmatwana była dostatecznie *kapryśna*, aby zaspokoić rozdrażnione pożądanie. Rozdrażnienie więźnia odwlekło jego uwolnienie o dziewięć miesięcy: komendant domagał się przeniesienia osobnika, którego usposobienie tak dobrze uzgadniało się z biegiem wydarzeń⁵. Gdy zamek ustąpił, a uczestnicy zamieszek wypełnili korytarze fortecy, cela Sade`a była pusta, a panujący chaos sprawił, że rozproszone rękopisy markiza zaginęły, rękopis *Stu dwudziestu dni Sodomy* (książki, która w pewnym sensie przewyższa inne, będąc prawdą rozpętania, u podstaw którego znajduje się człowiek, prawdą, jaką zobowiązany jest on w sobie nosić i pomijając milczeniem) zniknął: zamieszki w Bastylii zamiast wyzwolić autora zapodziały rękopis i to tej książki, która oznaczała dla niego samego, a przynajmniej znaczyła pierwotnie, całą potworność wolności. 14 lipca był naprawdę dniem wyzwolenia, ale w sposób ukryty, niczym w marzeniu. Znacznie później rękopis się odnalazł (opublikowany został w naszych czasach), ale markiz go nie odzyskał, uważał go za bezpowrotnie stracony i był tym przybity: „to największe nieszczęście – pisał – jakie niebo mogło mi zgotować”⁶.

⁵ Oto, co w liście do notariusza Gaufridy`ego, nie datowanym, ale, logicznie rzecz biorąc, pochodzącego z maja 1790 roku mówi o tym sam markiz de Sade: „Czwartego lipca [Markiz się pomylił, był to drugi lipca – przyp. tłum.], z powodu drobnego hałasu, jakiego narobiłem w Bastylii wskutek doznanych tam przykrości, gubernator poskarżył się ministrowi. Rozpalałem, jak mówiono, umysły ludu, zachęcałem do zburzenia tego pomnika okropności... To wszystko prawda” (*Correspondance inédite du marquis de Sade...*, opublikowana przez Paula Bordina, Paris 1929, in-4, s. 269). I w liście do prezydenta Club de la Constitution w Lacoste, datowanym 19 kwietnia 1792 roku: „Proszę zasięgnąć informacji, a powiedzą panu, czyż nie jest to powszechnie wiadome, czyż nie zostało autentycznie wyrażone, że moje nagłe przeniesienie jako człowieka niebezpiecznego podyktowane zostało tworzącym się przy mym udziale pod oknami Bastylii zbiegowiskiem, którego buntownicze ruchy doprowadzić miały do obalenia tego pomnika okropności. Niech Pan każe przedstawić sobie listy gubernatora Bastylii do ministra, a czytając w nich te słowa: «Jeśli Pan de Sade nie zostanie tej nocy zabrany z Bastylii, nie odpowiadam za królewską fortecę», zobaczy Pan, czy jest to człowiek, którego należy nękać” (Ibid., s. 314-315). Na koniec w projekcie petycji „do prawodawców Konwentu”, noszącym datę 1793: „(...) byłem w Bastylii jeszcze 3 lipca 1789 roku. Przeciągałem garnizon na stronę ludu; odsłaniałem mieszkańcom Paryża okropności, jakie gotowano im w zamku. Launay uważał, że jestem niebezpieczny; posiadam list, w którym prosi on usilnie ministra Villedeuila o oddalenie mnie z fortecy, w której za wszelką cenę chciałem zapobiec zdradzie” (Ibid., s. 348).

⁶ Sade na ten temat wyraża się tak oto: „(...) moje rękopisy, nad utratą których ronię krwawe łzy! (...) nigdy nie zdołam Ci opisać mej rozpaczki z powodu tej straty, jest to dla mnie strata niepowetowana” (*Correspondance...*, s. 263). I dalej: „(...) rękopisy, które co dzień oplakuję krwawymi łzami... (...) Wybacz mi, proszę, że nie powołuję się na tę okoliczność; rozdziera mi ona serce w sposób tak okrutny, iż najlepsze, co mogę uczynić, to zapomnieć owo nieszczęście i nikomu już o nim nie wspominać. Odnalazłem, co prawda, kilka rzeczy w regionach, w których złożone zostały papiery z Bastylii, ale nic znaczącego..., nędzne resztki i żadnego większego dzieła... (...) To największe nieszczęście, jakie niebo mogło mi zgotować!...” (Ibid., s. 270). Sade odnalazł w istocie drugą, względnie przyzwoitą wersję *Justyny*, którą opublikował w roku 1791. Wersja pierwsza, najbardziej zawoalowana, którą Maurice Heine opublikował w roku 1930 i którą niedawno wznowiło wydawnictwo „Point du Jour”, bezpośrednio trafiła do Biblioteki Narodowej. Prawdopodobnie utrata *Stu dwudziestu dni Sodomy* skłoniła Sade`a do napisania trzeciej wersji skandalicznej historii *Justyny* oraz jej dalszego ciągu, historii *Julietty*: nie dysponując zasadniczym świadectwem, jakie chciał przedstawić, musiał myśleć o zastąpieniu go jakimś równie pełnym dziełem. Należy wszakże

Umarł nie wiedząc, że to, co uważał za stracone, w rzeczywistości, choć nieco później, miało znaleźć miejsce pośród „niezniszczalnych pomników przeszłości”.

Wola samozniszczenia

Autor i książka nie muszą być, jak widać, rezultatami spokojnych czasów. W tym przypadku wszystko wiąże się z przemocą rewolucji. A osoba markiza de Sade z historią literatury ma dość osobliwe związki. Prawdą jest, że pragnął do niej wejść jak każdy inny i rozpacział z powodu utraty rękopisów. Nikomu jednak nie wolno w jasny sposób pragnąć i mieć nadziei na to, czego Sade domagał się w sposób niejawni i co osiągnął. Istotą jego dzieła jest bowiem zniszczenie, nie tylko przedmiotów, wprowadzonych na scenę ofiar (które znalazły się na niej tylko po to, by ulegać wścieklej negacji), lecz także autora i samego dzieła. Być może przeznaczenie pragnące, by Sade pisał i został pozbawiony swego dzieła, miało tę samą prawdę co dzieło, które przynosi *złą* nowinę o zgodności między żywymi i tym, co ich zabija, między Dobrem i Złem, a można by rzec: między rozzwierającym krzykiem i milczeniem. Nie sposób zgadnąć, jakim motywem kierował się człowiek tak zmienny jak on, gdy w testamencie dawał wskazówki dotyczące grobu, który, jak chciał, miał się znajdować w jakimś ustronnym miejscu na jego ziemiach. Te nieodwołalne zdania, bez względu na ów przypadkowy powód, zawładają jego życiem i je *zamykają*:

„*Po zasypaniu dołu należy zasiać na nim żółędzie, aby w wyniku tego miejsce wspomnianego dołu zostało pokryte, a gęstwina uzupełniona jak przedtem: niech ślady mego grobu znikną z powierzchni ziemi, tak jak pochlebiam sobie, że pamięć o mnie zniknie z pamięci ludzi*”⁷.

Między „krwawymi łzami”, wylewanymi z powodu *Stu dwudziestu dni Sodomy*, a tym wymogiem nicości istnieje taki dystans, jak między strzałą a celem. Pokażę później, że sens tego nieskończenie głębokiego dzieła polega na pragnieniu, by autor *zniknął* (rozpłynął się, nie pozostawiając ludzkiego śladu); albowiem to tylko było na jego miarę.

Myśl Sade`a

Postarajmy się porozumieć co do jednego: trudno o bardziej jałowe zajęcie niż poważne traktowanie Sade`a w sposób *dosłowny*. Z której strony by się doń przybliżyć, on zawczasu już się wymknął. Spośród różnych filozofii, jakich używa swym bohaterom, żadnej nie można zachować. Znakomicie pokazują to analizy Klossowskiego. Za pośrednictwem powieściowych postaci raz rozwija on teologię *Najwyższej Niegodziwej Istoty*, to znów jest ateistą, choć nie z zimną krwią: jego ateizm rzuca bogu wyzwanie i rozkoszuje się świętokradztwem. Ogólnie rzecz biorąc, zastępuje on Boga *Natura w stanie wiecznego ruchu*, ale raz jest jej wiernym, a raz wzgardzicielem. „Jej okrutna dłoń – mówi chemik Almani –

powiedzieć, że temu ostatniemu dzieło brak monumentalnego charakteru *Stu dwudziestu dni Sodomy*. Wiadomo, że dziwny rękopis tej książki (rulon długości dwunastu metrów), odnaleziony w celi Sade`a przez niejakiego Arnoux Saint-Maximina, sprzedany został wiek później przez paryskiego księgarza niemieckiemu kolekcjonerowi. Dr Dühren opublikował go w 1904 roku w Berlinie, ale w wersji rojącej się od błędów, wydrukowanej w 180 egzemplarzach. Wreszcie Maurice Heine, który przywiózł rękopis do Paryża w roku 1929, ustalił tekst wzorcowy (Paryż 1931-1935), powtórzony w wydaniach z lat 1947 i 1953 (które poprawiły ortografię i uniknęły błędów rękopisu skrupulatnie odtworzonych przez Heine`a).

⁷ Cytowane przez Apollinaire`a, *L'Œuvre de Sade, op. cit.*, s. 14-15 [Polski przekład – nieznacznie poprawiony – za J. Trznadel, *Filozof zamurowany*, w: D. A. F. de Sade, *Niedole cnoty*, przeł. J. Trznadel, Warszawa 1972, s. 5, motto – przyp. tłum.].

wyrządzać umie tylko zło, zło jest więc dla niej rozrywką. Miałbym kochać taką matkę?! Nie, będę ją naśladował, lecz przeklinając ją zarazem, będę działał tak jak ona, gdyż pragnie tego, ale złorzecząc jej jednocześnie”⁸. Kluczem do rozwiązania tych sprzeczności jest niewątpliwie zdanie bezpośrednio oddające jego myśli (z listu napisanego 26 stycznia 1782 roku z „kurnika (z wieży) Vincennes” i sygnowanego Des Aulnets – jak gdyby pieczęć jego prawdziwego nazwiska była nie do pogodzenia z afirmacją moralną): „Człowieku, czy do ciebie należy wyrokowanie o tym, co dobre, a co złe? (...) Chcesz analizować prawa natury, a twe serce, twe serce, gdzie odcisnęła ona swe piętno, samo jest zagadką, której nie potrafisz rozwiązać”⁹. Prawdę mówiąc, spoczynek był dlań czymś niewyobrażalnym i niewiele myśli zdecydowanie zachował. Był materialistą – to pewne, nie mogło to jednak rozstrzygnąć jego pytania: pytania o Zło, które kochał, i o Dobro, które go skazało. Sade, który kochał zło, Sade, którego całe dzieło pragnie Zło uczynić czymś pożądanym, nie mogąc go skazać, nie mógł go też usprawiedliwić: rozpustni *filozofowie*, których odmalowuje, szukają, każdy na swój sposób, ale nie znajdują i znaleźć nie mogą, zasady wycofującej przekłętą naturę z czynów, których dobrodziejstwa wychwalają. W czynach tych szukają właśnie przekłętego elementu. A pełen goryczy krzyk Almaniego świadczy o tym, że Sade myśli swej potrafił dać tylko wykładnię niepewności i zamętu. Pewność miał tylko co do tego, że nic nie usprawiedliwia kary, a w każdym razie kary spadającej na człowieka: „prawo – pisze Sade – samo w sobie zimne, nie daje przystępu namiętnościom, mogącym usprawiedliwić, u ludzi, okrutny czyn zabójstwa”¹⁰. W odniesieniu do tego, co najważniejsze, nie zmienił zdania: „Chcesz – pisał w roku 1782, w liście z 29 stycznia – by cały świat był cnotliwy, a nie uświadamiasz sobie, że wszystko uległoby natychmiast zagładzie, gdyby na ziemi zapanowała wyłącznie cnota; nie chcesz słyszeć, że skoro muszą istnieć występki, niesprawiedliwe jest, byś je karał, bo to tak, jakbyś drwił z jednookiego...”¹¹. I nieco dalej: „Ciesz się, przyjacielu, ciesz się i nie osądzaj... Ciesz się, mówię ci, pozostaw naturze starania o kierowanie tobą wedle jej upodobań, Wiekuistemu zaś troskę o ukaranie”¹². Jeśli „rozpętanie” namiętności jest przekłete, to przynajmniej kara, która chce mu zapobiegać, nie ma charakteru zbrodni. (Współcześni mówią o tym w kategoriach mających pewne braki, ale bardziej precyzyjnych: jeśli nawet zbrodnia podyktowana namiętnością jest niebezpieczna, to jest jednak autentyczna; inaczej rzecz ma się z represją, która podporządkowana jest jednemu warunkowi: nie szuka się już autentyczności, lecz skuteczności).

Wielu zgodzi się z tym, że akt sędziego, wolny od wszelkiego pożądanego i pozbawiony ryzyka, ma charakter oziębły, który zamyka serce. Ale mówiąc to i uznając Sade’a za dokładne przeciwieństwo sędziego, należy zauważyć, że nie było w nim ani umiarkowania, ani rygoru, który pozwoliłby podporządkować jego życie jednej zasadzie. Był człowiekiem bezgranicznie szlachetnym, wiadomo, że ocalał przed szafotem Montreuilów, podczas gdy pani de Montreuil, jego teściowa, przyczyniła się do uwięzienia go na mocy *lettre de cachet*,

⁸ D. A. F. de Sade, *La nouvelle Justine*, t. III; cytowane przez P. Klossowskiego, *Sade mój bliźni*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, Warszawa 1992, s. 99.

⁹ List Sade’a do panny de Rousset zatytułowany przez wydawcę *Etrennes philosophiques (Filozoficzne podarki)*, w: D. A. F. de Sade, *Powiedzieć wszystko*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, M. Bratuń, Łódź 1991, s. 289-290 [przyp. tłum.]. List nie ma imienia, ale był niewątpliwie adresowany do Mlle Rousset, pięknej i bardzo pociągającej kobiety, z którą wiązała go dość trwała miłość.

¹⁰ D. A. F. de Sade, *Francuzi, jeszcze jeden wysilek, jeżeli chcecie stać się republikanami*, przeł. J. Lisowski, w: idem, *Dzieła*, t. 2: *Pisma polityczne*, przeł. B. Banasiak, J. Lisowski, K. Matuszewski, P. Pieniążek, Warszawa 1997, s. 214.

¹¹ D. A. F. de Sade, *Filozoficzne podarki*, *op. cit.*, s. 290-291.

¹² *Ibid.*, s. 291.

ale zgadzał się z nią – nawet ją ponaglał – by tą samą metodą wyeliminować Nanon Sablonière, służącą, która zbyt wiele widziała¹³. Między rokiem 1792 a 93 w wielkim zapale republikańskim wstąpił do Sekcji Pik, której został sekretarzem i prezydentem: warto w każdym razie wziąć pod uwagę list z roku 1791, w którym Sade pisze: „Pyta mnie Pan, jaki jest naprawdę mój sposób myślenia, aby za nim podążyć. Trudno zapewne o coś bardziej subtelnego niż ów fragment pańskiego listu, w rzeczywistości jednak trudno mi będzie ściśle odpowiedzieć na to pytanie. Przede jako człowiek pióra zobligowany jestem co dzień pracować raz dla jednego stronnictwa, raz dla innego, co utrwala zmienność moich poglądów i wpływa na mój wewnętrzny sposób myślenia. Czy rzeczywiście pragnę go zgłębić? Nie opowiada się on za żadnym stronnictwem, lecz jest złożeniem poglądów ich wszystkich. Jestem antyjakobitą, jakobinów śmiertelnie nienawidzę, uwielbiam króla, ale żywię odrazę do dawnych nadużyć; cenię niektóre artykuły konstytucji, inne mnie odstręczają. Chciałbym, aby przywrócono szlachcie całą jej świetność, gdyż pozbawianie jej blasku na nic się nie przydaje. Chciałbym, aby król był przywódcą narodu. Nie życzę sobie za to zgromadzenia narodowego, wolałbym dwie izby, jak w Anglii, co daje królowi władzę ograniczoną, zrównoważoną przez współdziałanie narodu podzielonego z konieczności na dwa stany, trzeci jest zbędny, nie chcę go wcale. Oto moje wyznanie wiary. Kim teraz jestem? Arystokratą czy demokratą? Powiedz mi proszę..., bo ja sam nic o tym nie wiem”¹⁴. Niczego, rzecz jasna, nie da się stąd wywnioskować (pisał do mieszczanina, który był mu potrzebny ze względu na dochody), poza ową „zmiennością poglądów”, owym „kim jestem?”, co „boski markiz” mógłby przyjąć za swą dewizę¹⁵.

Wydaje mi się, że w swych studiach *Sade i Rewolucja* oraz *Zarys systemu Sade`a* Pierre Klossowski dał nieco sztuczny obraz autora *Justyny*: wyłącznie żywioł zaszębień, w których uczona dialektyka zniewala Boga, teokratyczne społeczeństwo i bunt wielkiego pana (który chce zachować przywileje i wyprzeć się obowiązków). Ma to sens mocno heglowski, choć pozbawione jest właściwej Hegłowi ścisłości. Ruchy *Fenomenologii ducha* – do których dialektyka ta jest podobna – tworzą cyrkularną całość, obejmując cały rozwój ducha w historii. Klossowski nazbyt szybko wyciąga wnioski z olśniewającego fragmentu z *Filozofii w buduarze*, w którym Sade państwo republikańskie chce zbudować na zbrodni. Pokusił się o to, by wychodząc od tego fragmentu, wyprowadzić ze skazania króla na śmierć – substytutu skazania na śmierć Boga – koncepcję socjologiczną, u podstaw której leży teologia, po której oprowadza psychoanaliza (i która ma związek z ideami Josepha de Maistre...). Wszystko to jest dość kruche. Zdanie użyte przez Sade`a Dolmancému jest tylko logiczną wskazówką, jednym z tysiąca dowodów na to, że ludzkość jest w błędzie, nie biorąc pod uwagę destrukcji i Zła. Klossowskiego posuwa się w końcu do stwierdzenia, że rozumowanie Dolmancégo służy wyłącznie wykazaniu błędności zasady republikańskiej. Na tak światłą przepowiednię Sade odpowiada beztróską. Chodzi jednak o coś całkiem innego.

„Zadaję sobie pytanie – pisze Jean Paulhan – gdy w naszych czasach widzę tylu pisarzy tak świadomie odrzucających sztuczność i grę literacką na rzecz zdarzenia

¹³ W liście do Gaufridy`ego sprzed 15 lipca 1775 roku. (*Correspondance...*, s. 37).

¹⁴ List do Gaufridy`ego z 5 grudnia 1791 roku (Ibid., s. 301-302). Niczego więcej nie da się wywnioskować z fragmentu listu z roku 1776, w którym zwraca się on do tego samego Gaufridy`ego: „Nie wypadało mi ugiąć się przed człowiekiem, który zaczął od znieważenia mnie, co samo w sobie mogło stanowić najgorszy przykład, zwłaszcza na moich własnych ziemiach, gdzie sprawą zasadniczą jest wymaganie od wasali poszanowania, jakie są winne i od jakiego aż nazbyt skłonni są stale się uchylać” (Ibid., s. 67).

¹⁵ Zastrzeżenia te nie dotyczą fundamentalnej nienawiści do kleru („trzecia jest zbędna”).

niewysłowionego, które, nie możemy tego wiedzieć, jest zarazem erotyczne i przerażające, starających się w każdym okolicznościach wręcz przeciwstawić się Stworzeniu i całkowicie zajętych wyszukiwaniem tego, co wzniosłe, w tym, co nikczemne, tego, co wielkie, w tym, co przewrotne, wymagających przy tym, by całe dzieło na zawsze skompromitowało autora..., zadaję sobie pytanie, czy w równie skrajnej grozie nie należałoby się doszukiwać raczej wspomnienia niż inwencji, raczej pamięci niż ideału, jednym słowem, czy nasza współczesna literatura w jej najżywszej, a w każdym razie najbardziej agresywnej części nie jest całkowicie zwrócona ku przeszłości i bardzo dokładnie określona przez Sade'a..."¹⁶. Być może Paulhan myli się, przypisując Sade'owi *naśladowców* (mówi się o nim, podziwia się go, nikt jednak nie ma ochoty się doń upodobnić: myśli się o innej „grozie”). Dobrze to jednak określa stanowisko Sade'a. Możliwości i niebezpieczeństwo języka nie robiły na nim wrażenia, nie mógł bowiem myśleć o dziele jako o czymś oderwanym od przedmiotu, jaki ono samo odmalowuje, gdyż przedmiot ten go *opętał* – w sensie, w jakim używamy tego słowa w odniesieniu do diabła. Pisał owładnięty pragnieniem tego przedmiotu i przykładał się do tego niczym dewot. Klossowski bardzo trafnie pisze: „Sade nie tylko marzy, ale też kieruje i prowadzi marzenie ku leżącemu u jego początku przedmiotowi, posługuje się zaś metodą kontemplującego zakonnika, który w obliczu boskiej tajemnicy wprawia swą duszę w stan modłów. Dusza chrześcijańska zyskuje samoświadomość w obliczu Boga. Jeśli jednak dusza romantyczna – będąca już tylko stanem nostalgii za wiarą¹⁷ – zyskuje samoświadomość ustanawiając swą namiętność jako absolut w taki sposób, że stan patetyczny staje się dla niej funkcją życia, to dusza Sadyzna samoświadomość zyskuje dzięki przedmiotowi rozdrażniającemu jej męskość i konstytuującemu ją w stanie rozdrażnionej męskości, która staje się również paradoksalną funkcją życia: jedynie w stanie rozdrażnienia czuje, że żyje”¹⁸. W tym miejscu należy uściślić, że przedmiot, o który chodzi, porównywalny z Bogiem (chrześcijanin Klossowski jako pierwszy zaproponował to porównanie), nie został *dany*, tak jak Bóg dany jest dewotowi. Przedmiot *jako taki* (byt ludzki) byłby jeszcze obojętny: należy go przekształcić, by otrzymać odeń upragnione cierpienie. A przekształcić to tyle, co zniszczyć.

Pokażę dalej, że Sade (a właśnie w tym różni się on od zwykłego *sadysty*, który jest bezrefleksyjny) miał na celu osiągnięcie czystej świadomości tego, co osiąga samo „rozpętanie” („rozpętanie” prowadzi jednak do utraty świadomości), a mianowicie zniesienia różnicy między podmiotem a przedmiotem. Toteż jego cel różniłby się od celu filozofii jedynie obraną przezeń drogą (Sade wyszedł od faktycznego rozpętania, które chciał uczynić inteligibilnym, filozofia zaś wychodzi od spokojnej świadomości – od pełnej inteligibilności – by ją doprowadzić do pewnego stopnia pomieszania). Przedtem jednak powiem o oczywistej monotonii książek Sade'a, która bierze się z podporządkowania gry literackiej wyrażeniu *niewysłowionego zdarzenia*. To prawda, że książki te w nie mniejszym stopniu różnią się od tego, co zazwyczaj uważa się za *literaturę*, niż przestrzeń pokryta samotnymi, pozbawionymi niespodzianek i bezbarwnymi skałami od urozmaiconych krajobrazów, strumieni, jezior i łąk, które tak kochamy. Czy jednak zdołalibyśmy zmierzyć ogrom takiej przestrzeni?

Sadyczny szal

Sytuując się poza ludzkością, Sade miał w swym długim życiu jedno tylko zajęcie, które całkowicie go pochłonięło: wyliczenie aż do wyczerpania możliwości niszczenia ludzkich bytów, niszczenia ich i rozkoszowania się myślą o ich śmierci i cierpieniu. Nawet

¹⁶ *Les Infortunes de la Vertu. Wprowadzenie*, s. 11-12.

¹⁷ Nie zgadzam się z tym zastrzeżeniem Klossowskiego.

¹⁸ P. Klossowski, *Sade mój bliźni*, *op. cit.*, s. 128.

najwspanialszy przykładowy opis miałby dla niego niewielkie znaczenia. Jedyne nie kończące się, nudne wyliczanie posiadało moc roztoczenia przed nim pustki, *pustyni*, ku której popychała go wściekłość (i którą jego książki wciąż rozpościerają przed tymi, którzy je otwierają).

Z potwornego dzieła Sade`a wieje nudą, ale właśnie nuda stanowi jego sens. Jak mówi chrześcijanin Klossowski, jego nie kończące się powieści bardziej przypominają książeczki do nabożeństwa niż książki dostarczające rozrywki. Organizująca je „skończona metoda” jest „metodą kontemplującego zakonnika, który w obliczu boskiej tajemnicy wprawia swą duszę w stan modłów”¹⁹. Należy czytać je tak, jak były pisane, starannie zgłębiając tajemnicę, która nie jest ani mniej głęboka, ani zapewne mniej „boska” niż tajemnica teologii. Człowiek ten, który w listach jest niestały, krotochwilny, uwodzicielski lub porywczy, czymś pochłonięty lub rozbawiony, zdolny do czułości, a może i do wyrzutów sumienia, w książkach ogranicza się do niezmiennego ćwiczenia, w którym od samego początku z ograniczających nas trosk uwalnia się przejmujące, stałe napięcie. Od samego początku błądźmy na niedostępnych wysokościach. Żadnego wahania, żadnego pohamowania. Poryw nie cichnącego i nie ogarnionego huraganu nieodmiennie wiedzie przedmioty pożądania na mękę i na śmierć. Jedynym wyobraźalnym kresem jest pragnienie, by sam kat stał się ofiarą męczarni. W cytowanym już testamencie ów sięgający szczytu poryw wymaga, by nawet grób nie przetrwał, by nawet imię „zniknęło z pamięci ludzi”.

Jeśli przemoc tę traktujemy jako objaw jakiejś trudnej prawdy, która dręczy tego, kto wniknął w jej sens tak głęboko, że mówi o niej jako o tajemnicy, to musimy niezwłocznie odnieść ją do obrazu, jaki nadał jej sam Sade.

„A teraz, drogi czytelniku – pisze on na początku *Stu dwudziestu dnia Sodomy* – winieneś przygotować swe serce i umysł na najbardziej nieczystą opowieść, jaka powstała od początku świata. Podobnej książki nie spotkasz ani u starożytnych, ani u nowożytnych. Wyobraź sobie, że wszelkie przyzwoite rozkosze nakazane przez ową bestię, o której bezustannie mówisz, nie znając jej, a którą zwiesz naturą, że te rozkosze, jak powiedziałem, zostaną stanowczo wyłączone z tego zbioru, jeśli zaś natrafisz na nie przypadkiem, zawsze towarzyszyć im będzie jakaś zbrodnia lub ubarwi je jakaś nikczemność”²⁰.

Aberracja Sade`a każe mu z bohaterów czynić raczej nikczemników niż zbrodniarzy. Oto portret jednej z najdoskonalszych postaci:

„Urodzony obłudnik, nieczuły, władczy, brutalny egoista, równie rozrzutny w przyjemnościach jak skąpy w służeniu pomocą, kłamca, obżartuch, pijak, tchórz, sodomita, kazirodca, morderca, podpalacz, złodziej (...)”²¹. To książę de Blangis, jeden z czterech katów *Stu dwudziestu dni Sodomy*. „(...) rezolutne dziecko przeraziłoby tego kolosa, kiedy bowiem dla pozbycia się wroga nie mógł już użyć podstępu lub zdrady, stawał się nieśmiały i tchórzliwy (...)”²².

Blangis nie jest zresztą najbardziej odrażającym spośród czterech zbrodniarzy.

„Prezydent de Curval był nestorem towarzystwa. Miał około sześćdziesięciu lat i był bardzo zniszczony przez rozpustę, niemal skóra i kości. Był wysoki, suchy, szczupły, o zapadłych i przygasłych oczach, ustach sinych i niezdrowych, wystającym podbródku i długim nosie. Owłosiony jak satyr, plecy płaskie, pośladki sflaczałe i obwisłe, przypominające raczej dwie brudne ścierki wiszące na wysokości ud (...) Curvala tak wciągnęło bagno występku i libertynizmu, że już prawie nie potrafił rozmawiać na inny

¹⁹ Ibid.

²⁰ D. A. F. de Sade, *Dzieła*, t. 1: *Sto dwadzieścia dni Sodomy, czyli Szkoła libertynizmu*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, Warszawa 1996, s. 154.

²¹ Ibid., s. 114.

²² Ibid., s. 117.

temat. I na ustach, i w sercu miał stale najbardziej plugawe słowa, które bardzo często przeplatał bluźnierstwami i przekleństwami, pełnymi prawdziwej odrazy, jaką za przykładem swych towarzyszy żywił do wszystkiego, co dotyczyło religii. Ten zamęt umysłu, zwiększony jeszcze stanem niemal ciągłego upojenia, w jakim lubił pozostawać, już od kilku lat nadał mu wygląd głupkowaty i otepiały, który, jak sam twierdził, wywoływał najmilsze rozkosze”²³.

Prezydent de Curval, „niechlujny”, a przede wszystkim „śmierdzący”, był „całkowicie otepiały”²⁴, ksiązę de Blangis, przeciwnie, był ucieleśnieniem wybuchowości, przemocy: „Ale jeśli to arcydzieło natury było gwałtowne w swych pragnieniach, czymże się stawało, wielki boże! gdy ukoronowało je upojenie rozkoszą? Nie był to już człowiek, lecz wściekły tygrys. Nieszczęsny, ku komu zwrócił wówczas swe namiętności. Z jego piersi wyrwały się okropne bluźnierstwa i przerażające krzyki, pieniał się, rżał, mógłby uchodzić za samego boga lubieżności”²⁵.

Sade nie był tak bezgranicznie okrutny. Miewał często zatargi z policją, która wobec niego była podejrzliwa, lecz nie mogła go obciążyć żadną rzeczywistą zbrodnią. Wiemy, że młodą żebraczkę, Rose Keller, pociął scyzorykiem, a rany polał gorącym woskiem. Zamek Lacoste w Prowansji był prawdopodobnie miejscem zorganizowanych orgii, lecz bez ekscesów, których dopuściła się jedynie inwencja zamku Silling, przedstawionego jako miejsce odosobnione w odległym skalistym ustroniu. Namiętność, czasem może przeklęta, pragnęła, by spektakl bólu innego wprawiał go w uniesienie, które zawładnęło umysłem. W oficjalnym zeznaniu Rose Keller mówiła o okropnych krzykach, jakie wywoływała u niego rozkosz. W każdym razie ten rys zbliża go do Blangisa. Nie wiem, czy w odniesieniu do tego rozpętania słuszniej byłoby mówić po prostu o przyjemności. Eksces w pewnym stopniu przekracza potoczne pojęcie. Czy można mówić o przyjemności dzikich, którzy wieszają się na przywiązanej do sznurka haku, wbijając go sobie w pierś, i kręcąc się w ten sposób wokół słupa? Zeznania w sprawie marsylskiej mówią o uderzeniach batem uzbrojonym w szpilki, pod którymi markiz spływał krwią. Należy pójść jeszcze dalej: pomysły Sade`a odstraszyłyby często najbardziej zaprawionych fakirów. Gdyby ktoś twierdził, że zazdrości zbrodniarzom z Silling, byłaby to czcza przechwałka. W porównaniu z nimi Benedykt Labre jest uosobieniem delikatności: nie jest ascetą, który by do tego stopnia przewyciężył odrazę²⁶.

Od rozpętania do jasnej świadomości

Sade znajdował się jednak w tej sytuacji moralnej. Całkiem różny od swych bohaterów, często bowiem okazywał ludzkie uczucia, znał stany rozpętania i ekstazy, które objawiły mu sens głębszy niż zwykle możliwości. Nie sądził, by mógł czy też powinien usunąć z życia owe niebezpieczne stany, ku którym popychały go nieprzewyciężone pragnienia. Zamiast o nich zapomnieć, jak to bywa zazwyczaj w chwilach moralności, ośmielił się spojrzeć im prosto w oczy i postawił sobie niezgłębione pytanie, jakie stawiają one naprawdę wszystkim ludziom. Inni przed nim tak samo błędzili, lecz między rozpętaniami namiętności i świadomością utrzymywało się fundamentalne przeciwieństwo. Nigdy ludzki umysł nie przestał odpowiadać wymaganiu prowadzącemu do sadyzmu. Działo się to jednak

²³ Ibid., s. 119 i 120.

²⁴ Ibid., s. 120.

²⁵ Ibid., s. 116-117.

²⁶ Święty Benedykt Labre, jak mówią, posunął się w nieczystości aż do tego, że zjadał własne robactwo. Jako epigraf książki Klossowski umieścił takie oto zdanie: „Gdyby jakiś tęgi umysł odważył się był zapytać świętego Benedykta Labre, co myśli o swym współczesnym, Markizie de Sade, święty byłby odrzekł bez wahania: «To mój bliźni»”.

skrycie, w mroku, co wynika z niezgodności między przemocą, która jest ślepa, i przenikliwością świadomości. Szał oddalał świadomość. Świadomość z kolei, w podszytym lękiem potępieniu negowała i pomijała sens szału. Sade jako pierwszy, w więziennej samotności, dał przemyślany wraz owym niekontrolowanym ruchom, na negacji których świadomość zbudowała gmach społeczny – i obraz człowieka. W tym celu to wszystko, co inni uważali za rzecz niezachwianą, musiał on wziąć na opak i zakwestionować. Jego książki sprawiają wrażenie, że wraz z rozdrażnioną rewolucją pragnął *niemożliwego* i *odwrotności* życia: podjął on stanowczą decyzję niczym gospodyni, która, spiesząc rzecz zakończyć, jednym pewnym ruchem zdiera skórę z królika (gospodyni także odsłania odwrotność prawdy, a w tym przypadku odwrotność jest samym sercem prawdy). Sade opiera się na codziennym doświadczeniu: zmysłowość – która uwalnia od zwykłych ograniczeń – zostaje rozbudzona nie tylko przez obecność, lecz także przez *przekształcenie* możliwego przedmiotu. Innymi słowy, popęd erotyczny będący rozpętaaniem (w stosunku do zachowań pracy i, generalnie, przyzwoitości) zostaje wywołany przez *rozpętaanie* odpowiadającego mu przedmiotu. „Sekret jest na nieszczęście aż nazbyt bezpieczny – pisze Sade – a nie ma libertyna choć trochę utwierdzonego w występku, który by nie wiedział, jak morderstwo wpływa na zmysły (...)”²⁷. „Jest więc prawdą – wykrzyknął książę – jest więc prawdą, że zbrodnia pociąga sama przez się w taki sposób, iż niezależnie od wszelkiej rozkoszy wystarcza do rozpalenia namiętności (...)”²⁸. *Rozpętaanie* nie zawsze staje się udziałem przedmiotu namiętności. To, co byt niszczy, dokonuje też jego *rozpętaania*; *rozpętaanie* zawsze zresztą jest rozpadem bytu, który wyznaczył sobie granice przyzwoitości. Samo obnażenie jest naruszeniem tych granic (jest znakiem zamętu, jaki wywołuje przedmiot, który mu się oddaje). Rozwiążłość seksualna powoduje rozkład koherentnych postaci, jakie wyznaczamy, sobie i innym, jako byt określony (przenosi je ona w nieskończoność, jaką jest śmierć). W zmysłowości istnieje zamęt i wrażenie pograżenia, podobne do niemiłego uczucia, jakie wywołują w nas trupy. W zamęcie śmierci, przeciwnie, coś się zatracza, coś nam umyka, rodzi się w nas uczucie chaosu, wrażenie pustki, i stan, w jaki przechodzimy, podobny jest do stanu poprzedzającego pożądanie zmysłowe. Pewien młody człowiek nie mógł uczestniczyć w pogrzebie, nie odczuwając fizycznego podniecenia, z tego powodu musiał opuścić kondukt żałobny na pogrzebie swego ojca. Jego zachowanie sprzeczne było z zachowaniem zwyczajowym. Mimo wszystko podniecenie seksualne nie może sprowadzić do tego, co przyjemne i dobroczynne. Istnieje w nim żywioł chaosu, nadmiaru, który sprawia, że w grę zaczyna wchodzić życie tych, którzy mu ulegają.

Wyobraźnia Sade`a popchnęła ów chaos i nadmiar ku najgorszemu. Każdy, kto nie jest ślepy i głuchy, zakończy lekturę *Stu dwudziestu dni Sodomy* chory, a najbardziej chory jest ten, kogo lektura ta podnieca zmysłowo. Te odcinane palce, te wylupione oczy, te wrywane paznokcie, te męki, w których ból wzmaga odraza moralna, matka, którą podstęp i strach doprowadzają do zabicia syna, krzyki, smród rozlewanej krwi, wszystko to w końcu wywołuje mdłości. To przekracza granice wytrzymałości, dławi i wywołuje podobne do ostrego bólu uczucie, które obezwładnia – i zabija. Jak on śmiał? A przede wszystkim, dlaczego *musiał*? Wiedział to człowiek, który napisał te znaczone aberracją stronicę i posunął się dalej, niż można to sobie wyobrazić: nie pozostało nic godnego szacunku, czego by nie wyszydził, nic czystego, czego by nie zbrukał, nic radosnego, czego by nie napelnił przerażeniem. Dotyczy to osobiście każdego z nas: jeśli pozostała w nas choć cząstka człowieczeństwa, książka ta jak bluźnierstwo, jak choroba twarzy dotyka tego, co dla nas najdroższe, najświętsze. A jeśli posuwa się dalej? To niewątpliwie jedyna książka, w której umysł ludzki jest na miarę *tego, co jest*. Język *Stu dwudziestu dni Sodomy* jest językiem

²⁷ D. A. F. de Sade, *Sto dwadzieścia dni Sodomy*, op. cit., s. 119.

²⁸ Ibid., s. 279.

powolnego w skutkach świata, który w pewny sposób poniża, dręczy i niszczy całość bytu, jaką powołał do istnienia.

W zbłąkaniu zmysłowości ludzki umysł dokonuje działań, dzięki którym *równy jest temu, co jest*.

Bieg ludzkiego życia skłania nas do powtarzania łatwych opinii: przedstawiamy sobie siebie samych jako byty wyraźnie określone. Nic nie wydaje się nam pewniejsze niż owo *ja*, na którym ugruntowane jest myślenie. A jeśli dotyka ono *przedmiotów*, to tylko przekształca je na swój użytek: nigdy nie jest równe temu, co nie jest nim samym. Tym, co zewnętrzne wobec naszego skończonego bytu, jest albo podporządkowująca nas sobie nieprzenikniona nieskończoność, albo nam podporządkowany *przedmiot*, którego używamy. Dodajmy, że jednostka upodabniając się dzięki wybiegowi do rzeczy używalnych może jeszcze ulec podporządkowaniu skończoności, która *pęta* ją wewnątrz bezmiaru. Jeśli od tego wychodząc, usiłuje ów bezmiar spętać prawami nauki (które stawiają znak *równości* między światem i rzeczami skończonymi), równa jest swemu przedmiotowi jedynie wówczas, gdy *włącza się* w porządek, który ją przygniata (który ją neguje, który neguje to, co różne w niej od rzeczy skończonej i podporządkowanej). Jest tylko jeden sposób umożliwiający jej uniknięcie tych rozmaitych ograniczeń: zniszczenie bytu podobnego do nas (dzięki temu zniszczeniu granice naszego bliźniego zostają zanegowane; w rzeczywistości nie możemy zniszczyć bezwładnego przedmiotu, zmienia się on, lecz nie znika, jedynie byt do nas podobny znika w śmierci). Przemoc dosięgająca naszego bliźniego wymyka się porządkowi rzeczy skończonych, przypadkowo użytecznych: wydaje go bezmiarowi.

Było to już prawdą w przypadku składania ofiary. W pełnym przerażenia zrozumieniu *sacrum* umysł dokonał już działań, dzięki którym *równy jest temu, co jest* (nieskończonej całości, której nie możemy poznać). Ofiara jest jednak lękiem przed rozpętanym przez rozpętanie. Jest to czyn, dzięki któremu świat świadomej aktywności (świat *profanum*) uwalnia się od przemocy, która naraża go na zniszczenie. I jeśli prawdą jest, że w przypadku ofiary uwaga skierowana jest na przejście od wyizolowanego indywiduum do nieograniczoności, to w nie mniejszym stopniu jest ona nakierowana na interpretacje ulotne, najbardziej sprzeczne z jasną świadomością. Ofiara jest zresztą czymś biernym, ugruntowana jest ona na elementarnym strachu, tylko pożądanie jest aktywne i tylko ono nas uobecnia.

Szansa świadomego poznania dana jest tylko wówczas, gdy umysł, zatrzymany przez przeszkodę, skupia swą spowolnioną uwagę na przedmiocie pożądanego. Zakłada to rozdrażnienie i przesyty, sięganie po coraz odleglejsze możliwości. Zakłada to wreszcie refleksję związaną z czasową niemożliwością zaspokojenia pożądanego, a w końcu upodobanie do zaspokajania go w sposób bardziej świadomy.

„Przyjęte jest pomiędzy prawdziwymi libertynami – pisze Sade – że wrażenia przekazywane przez organ słuchu najmilej lechcą, a ich oddziaływanie jest najżywsze. Dlatego czterej zbrodniarze, pragnąc nasycić swe serca rozkoszą tak mocno i tak głęboko, jak tylko będzie ona mogła przeniknąć, zamyślili w tym celu rzecz dość osobliwą²⁹. Chodzi o „narratorki”, mające w przerwach między orgiami w Silling ożywiać umysł opowieścią o wszelkich znanych sobie występkach: są to stare prostytutki, których długotrwałe i odrażające doświadczenia stanowią podstawę doskonałego obrazu, poprzedzającego obserwacje kliniczne i przez nie potwierdzonego. Z punktu widzenia świadomości „narratorki” mają jeden tylko sens, z wysokości ambony nadają one postać drobiazgowej, zobjektywizowanej przez inny głos ekspozycji labiryntowi, który Sade chciał rozświetlić do końca. Najważniejsze jest to, że ów osobliwy pomysł zrodził się z więziennej samotności. W rzeczywistości, bez

²⁹ Ibid., s. 128.

końca ponawiana i rozważana, czysta i wyraźna świadomość tego, co stanowi podstawę popędu erotycznego, potrzebowała dla ukształtowania nieludzkich warunków więzienia. Na wolności Sade mógłby zaspokoić dręczącą go namiętność, lecz więzienie pozbawiło go tej możliwości. Jeśli opisywana namiętność nie maści umysłu tego, kto ją opisuje, możliwe jest obiektywne, zewnętrzne poznanie, lecz pełna świadomość, która chce, by pożądanie zostało doświadczone, lecz nieosiągalne. Słynna *Pathologia sexualis* Krafft-Ebinga, czy inne tego samego rodzaju dzieła miały sens w planie obiektywnej świadomości ludzkich zachowań, zewnętrzny jednak wobec doświadczenia głębokiej prawdy objawianej przez te zachowania. Prawda ta nie jest prawdą pożądania, które leży u ich podstaw i którego nie obejmuje racjonalna klasyfikacja Krafft-Ebinga. Świadomość pożądania jest, jak wiadomo, trudno dostępna: samo pożądanie zniekształca jasność świadomości, przede wszystkim jednak tłumi ją możliwość spełnienia. Wydaje się, że dla całego świata zwierzęcego zaspokojenie seksualne zachodzi w wielkim „chaosie zmysłów”. Zakaz, jakiego przedmiotem jest ono w świecie ludzkim, wiąże się zresztą z jej charakterem, jeśli nie nieświadomym, to w każdym razie dalekim od świadomości czystej. Świadomość tę w fundamentalny sposób przygotowała refleksyjna indywidualność Sade'a: Sade bezustannie prowadził cierpliwe rozumowanie związane ze stałym wysiłkiem mającym na względzie przyswojenie znacznej części poznania właściwego jego czasom. Ale bez odosobnienia nieuporządkowane życie, jakie byłby wiódł, nie pozostawiłoby mu możliwości żywienia nieogarnionego pożądania, które narzucało się refleksji, a którego nie mógł zaspokoić.

Ażeby wyraźniej podkreślić trudność, dodam, że Sade zapowiada jedynie dopełnianie świadomości: nie mógł osiągnąć pełni jasności. Umysł winien jeszcze przystać, jeśli nie na nieobecność pożądania, to przynajmniej na rozpacz, jaką pozostawia czytelnikowi Sade'a końcowe wrażenie podobieństwa między pożądaniem doznawanym przez Sade'a i jego własnym, które nie ma tej intensywności, które jest normalne.

Poezja przeznaczenia Sade'a

Nie należy się dziwić, że tak osobliwa i tak trudna prawda od razu objawiła się w olśniewającej postaci. Jej wartością fundamentalną jest możliwość świadomości, ale nie może ona przestać się odwoływać do głębszej podstawy, której jest znakiem. W jakim sposób tej rodzącej się prawdzie mógłby uchybić blask poetycki? Bez poetyckiego blasku prawda ta z ludzkiego punktu widzenia nie miałaby znaczenia. Porusza nas to, że mityczna fabuła wiąże się z czymś, co ostatecznie odsłania podstawę mitów. Potrzebna była rewolucja – w huku wyważanych bram Bastylii – by wyjawić nam, dzięki przypadkowi chaosu, sekret Sade'a: zły los pozwolił mu żyć tym marzeniem, którego obsesja jest istotą filozofii, marzeniem o jedności podmiotu i przedmiotu; w tym przypadku tożsamość w przekraczaniu granic bytów, przedmiotu pożądania i podmiotu, który pożąda. Maurice Blanchot trafnie powiedział o Markizie, że „potrafił uczynić ze swego uwięzienia obraz samotności świata”, lecz więzienie to, ów świat już go nie krępował, gdyż „wygnał on z niego i wykluczył wszystkie stworzenia”. Toteż Bastylia, gdzie Sade pisał, stała się tygłem, w którym świadome granice bytów zostały powoli zniszczone ogniem namiętności, który podsycala bezsilność.

Przełożył Bogdan Banasiak